



Historyczna opowieść detektywistyczna, czyli wywiad z Krzysztofem Laszkiewiczem

Melania Janicka [dalej M.J.]: Czy na początek mógłby Pan powiedzieć kilka słów o sobie i swoim zamiłowaniu do historii, czy wiąże się ono z Pana wykształceniem, zawodem?

Krzysztof Laszkiewicz [dalej K. Laszkiewicz]: Zupełnie się nie wiąże, dlatego, że zawodowo prowadzę od wielu lat studio reklamy. Natomiast historia zawsze była moim hobby, zajmowałem się nią w wolnych chwilach, po godzinach. Z tym, że głównie była to historia lokalna: miasta, dzielnicy, w której mieszkam. Historia ogólna też mnie interesuje, aczkolwiek nie w takim wymiarze jak ta lokalna właśnie.

M.J.: Przechodzę zatem do kwestii związanych z przywilejem. Jak doszło do odnalezienia aktu potwierdzającego lokację Łodzi z 1433 roku?

K. Laszkiewicz: W każdej rodzinie są jakieś dokumenty czy zdjęcia, związane z naszymi przodkami – i tutaj była

podobna historia. Moja żona przechowywała dokumenty powiązane z bratem swojej babci, który był księdzem – nazywał się Józef Dzioba. Był on uważany za jednego z twórców diecezji łódzkiej, ponadto w latach 20. i 30. minionego wieku był wykładowcą w seminarium duchownym, a później jego rektorem. Był też bardzo bliskim współpracownikiem ks. biskupa Wincentego Tymienieckiego, pierwszego biskupa wspomnianej diecezji. Zachowało się sporo dokumentów związanych głównie z posługą kapłańską ks. Dzioby; kilkadziesiąt druków po łacinie, które były przechowywane pieczołowicie w takiej specjalnej teczce. Wśród tych dokumentów był jeden bardziej zniszczony, przykurzony, ale na pierwszy rzut oka jednak nieróżniący się wiele od całej reszty, dlatego nie wzbudzał niczyjego szczególnego zainteresowania. Natomiast przy okazji przeprowadzki tak się złożyło, że ostatnimi

rzeczami, za których porządkowanie się z żoną wzięliśmy, były właśnie różnego rodzaju papiery. Wtedy też zwróciłem uwagę na ten jeden dokument, który był zapakowany z adnotacją, wskazującą na to, że był adresowany do ks. Dzioby. No i... rozpakowałem go. Okazało się, że jest spisany na pergaminie, a nie papierze, co już było dosyć ciekawe. Zauważyłem też, że na wierzchu tego dokumentu widniała data – 1433 rok. Drobnym drukiem było również napisane *oppido Lodzia*, co wzmogło moją czujność. Wiedziałem, że jeśli chodzi o Łódź, a wszystko na to wskazywało, to każdy dokument, który jest z tego roku, musi być bardzo ważny.

M.J.: Jak wyglądały badania nad przywilejem? Dowiedziałam się, że na początku prowadził je Pan na własną rękę.

K. Laszkiewicz: Kiedy po raz pierwszy bliżej zainteresowałem się dokumentem, jeszcze nie wiedziałem, że jest to *de facto* akt nadania Łodzi praw miejskich. Początek moich poszukiwań to oczywiście Internet: co może być związane z Łodzią w tym roku? Od razu wyskoczyła mi informacja, że wtedy wydany został powtórny przywilej nadania Łodzi praw miejskich. Dlatego pracę zacząłem przede wszystkim od poznania historii Łodzi, od poszukania materiałów źródłowych, które mówiłyby konkretnie o tym dokumencie, który miałem w ręku, żeby znaleźć jakikolwiek ślad, jakieś zahaczenie. To nie było łatwe, dlatego że tych informacji było malutko. W 1922 roku ukazała się książka *Przyczynki do monografii Łodzi*, którą wydało seminarium

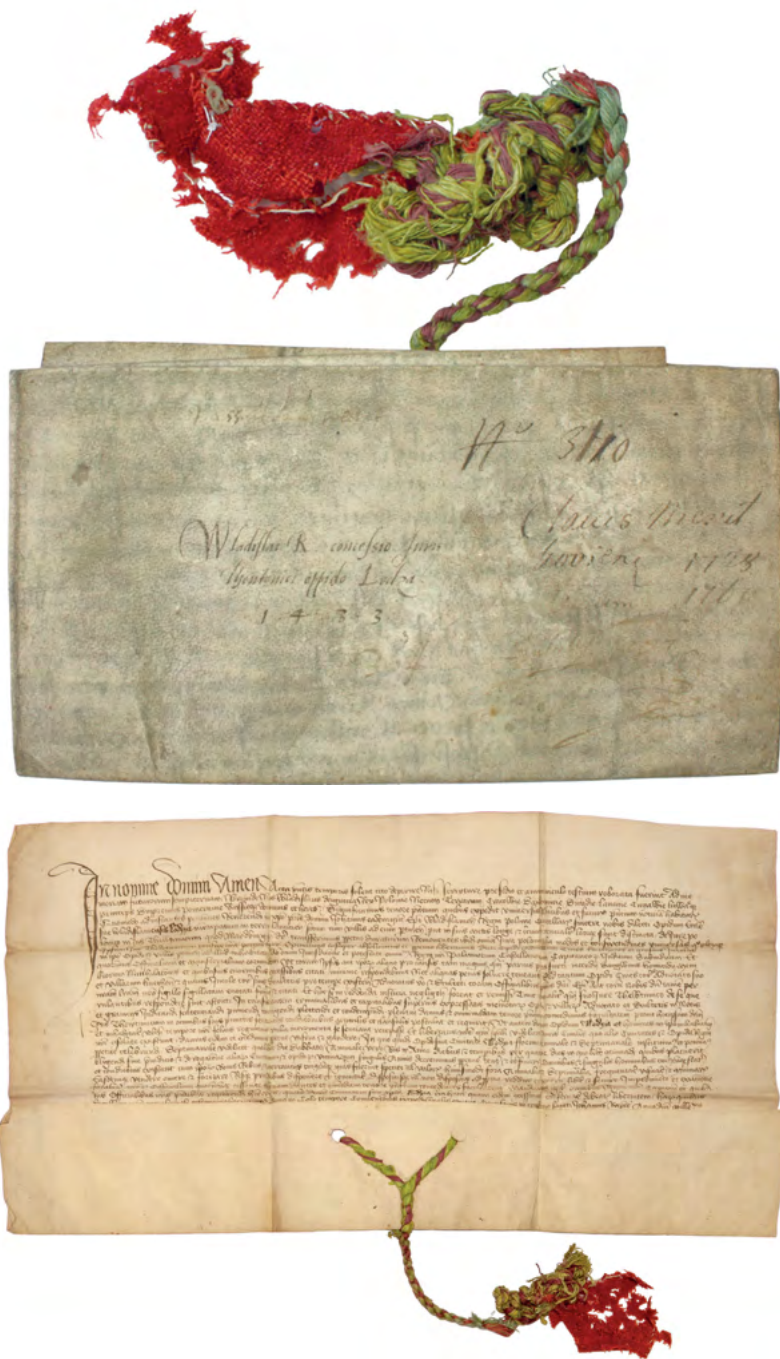
duchowne. Objętościowo może nie jest ona duża, ale jest bardzo ważna dla historii Łodzi, dlatego że mówimy o początku lat 20. Łódź była wtedy wspaniale rozwijającym się miastem przemysłowym, tętniła życiem, miała olbrzymie perspektywy, ale jeśli chodzi o jej historię, to niewiele wiedziano. Nie wiedziano na przykład, kiedy została założona, kiedy nastąpiła lokacja miasta. Te poszukiwania dopiero się zaczynały. Autorem wspomnianej książki był ks. Stanisław Muznerowski. Był to ksiądz, który przyjechał do Tuszyna przed I wojną światową. Przed powstaniem diecezji łódzkiej, Łódź należała do diecezji włocławskiej – dosyć daleko, ale tak to wyglądało. W jej skład wchodził również Tuszyn, więc pomimo odległości, ksiądz został przeniesiony w granicach swojej diecezji. Zanim jednak do tego Tuszyna dojechał, był już autorem wielu opracowań historycznych dotyczących parafii na Kujawach.

M.J.: Ks. Muznerowski to jest ta postać, u której odnaleziony przez Pana akt był widziany po raz ostatni, a jednocześnie pierwsza osoba, która ujawniła, że taki dokument w diecezji włocławskiej się w ogóle znajdował?

K. Laszkiewicz: Tak jest. On ujawnił ten dokument szerokiej publiczności we wspomnianym dziele. Sam akt był już wcześniej wpisany do katalogu dokumentów, znajdujących się w archiwum we Włocławku, tak więc nie został on przez ks. Muznerowskiego odkryty; był po prostu przechowywany cały czas w archiwum kapituły i wcześniej

żaden badacz do tego nie dotarł. Ks. Muznerowski to jest postać, o której kilka słów trzeba powiedzieć. Był to taki dosyć skromny ksiądz, ale bardzo energiczny i z olbrzymią pasją do historii. Wydał na przykład monografię miasteczka Krzepice pod Częstochową, z którego pochodził. Kiedy przyjechał na probostwo do Tuszyńska, napisał również monografię historyczną poświęconą Tuszyńowi. Najprawdopodobniej po I wojnie zainteresował się Łodzią; do tej pory opisywał małe miejscowości, wsie (poza Włocławkiem, o którym również pisał), ale w sąsiedztwie miał olbrzymie miasto, które poszukiwało swojej tożsamości historycznej. Co więc zrobił? Zebrał dokumenty, które znajdowały się we Włocławku i dotyczyły Łodzi, a następnie ujawnił je we wspomnianej pracy. Wśród nich był właśnie ten przywilej powtórnego nadania Łodzi praw miejskich, co było wówczas rewolucją poznawczą, bo wskazało cezurę czasową. Jednocześnie był to faktycznie ostatni ślad tego dokumentu. Teraz już wracam do moich poszukiwań. Ks. Muznerowski zawarł na końcu swojej pracy informację, że nie zachowała się przy dokumencie pieczęć, ale został po niej woreczek; takie strzępki materiału. To było dla mnie ważne, bo te strzępki były i przy dokumencie, który ja znalazłem, choć nie wiedziałem, czym są. Jak się okazało, w XVI wieku archiwiści, którzy dbali o stan dokumentów we Włocławku, zabezpieczali pieczęcie w taki sposób, że zaszywali je w lniany woreczek. Ten króciutki opis wskazywał na to, że

to może być oryginał. Wiedziałem również, kiedy został ujawniony. Oficjalnie otrzymałem też od dyrektora Archiwum Diecezjalnego we Włocławku informację, że akt zaginął w czasie okupacji. Tutaj zaczęły się poszukiwania odnośnie do pracy ks. Muznerowskiego; w jaki sposób pracował, jak zajmował się opracowaniami. Ciekawa rzecz: dzisiaj, jeśli chcemy taki dokument zobaczyć, to idziemy do archiwum, oglądamy przeważnie zdigitalizowaną kopię, czasami archiwiści pokazują nam oryginał, ale tylko w archiwum, nie można sobie takiego dokumentu wziąć do domu. Okazało się, że ks. Muznerowski miał potrzebne do swojej pracy dokumenty wypożyczane. Cieszył się on olbrzymim zaufaniem, ponieważ przetłumaczył masę manuskryptów, napisał wiele opracowań historycznych, a poza tym dokumenty zawsze zwracał. To mi dało dosyć dużo do myślenia. Ale jak znaleźć ślad tego konkretnego dokumentu? Nie mogłem dotrzeć do informacji w żadnym opracowaniu na temat tego, co mogło się z nim dzieć. W końcu wpadło mi w ręce takie czasopismo, które zostało wydane w 1931 roku – „Rocznik Łódzki poświęcony historii Łodzi i okolicy”. Ukazały się w nim dwa ważne dla omawianego dokumentu artykuły. Pierwszy był autorstwa ks. Morawskiego, również z Włocławka, któremu zawdzięczamy wiedzę o tym, że Łodzi nadano prawa miejskie w 1423 roku. Ks. Morawski zawarł w swojej pracy informację, że ks. Muznerowski ujawnił akt powtórnego nadania Łodzi praw miejskich



fot. 2–3 – dokument odnaleziony przez K. Laszkiewicz z uwzględnieniem pozostałych strzępów po worczku, w którym zaszyta była pieczęć

w 1922 roku i umieścił jego treść w *Przyczynkach do monografii Łodzi*. Było tam także takie istotne zdanie, stwierdzające, że całe szczęście, że tak się stało, ponieważ później ten dokument zaginął. To była rewolucja w moich poszukiwaniach: ks. Morawski jeszcze przed II wojną informował, że dokument już wtedy uznawany był za zaginiony. W tym drugim artykule, którego autorem był prof. Kazimierz Kaczmarczyk z Poznania, pojawiła się informacja, która wyjaśniała całą sprawę. Profesor mówił o trzech dokumentach, dotyczących historii Łodzi, które zaginęły, a które ks. Muznerowski ujawnił w swojej książce. W przypisie była informacja, że te dokumenty zostały wypożyczone ks. Muznerowskiemu z Włocławka i ks. Muznerowski ich nie zwrócił. Profesor pisał też, że po śmierci ks. Muznerowskiego szukano u niego tych dokumentów, ale ich nie znaleziono. Książę zmarł w 1925 roku.

M.J.: A czy na tej kopercie z przywilejem, adresowanej do ks. Dzioby znajdowała się jakaś data? Czy znamy powód niezwrócenia przez ks. Muznerowskiego wypożyczonych dokumentów?

K. Laszkiewicz: Nie. To, że ks. Muznerowski specjalnie nie zwrócił dokumentów nie wchodzi w grę. Jeśli chciałby nie oddać tego typu aktów, to miał naprawdę wiele okazji, a z nich nie skorzystał. Natomiast zmarł dosyć nagle, choć po krótkiej chorobie. Po I wojnie światowej mieszkał w Tuszynie, a podróż do Włocławka to była jednak wówczas wyprawa. Być może niezwrócenie

dokumentów było związane właśnie z tym.

M.J.: Czy wie Pan w takim razie w jaki sposób akt znalazł się u ks. Dzioby i dlaczego on również go nie oddał? Czy ma Pan jakieś teorie odnośnie do tego, jak przywilej trafił w poczet pamiątek rodziny Pana żony, jak udało mu się przetrwać?

K. Laszkiewicz: Tutaj sprawa jest zagadkowa i możemy się tylko domyslać. Ja przedstawiłem następującą hipotezę: wtedy czasy były bardzo niepewne, w meblach często były specjalne skrytki; w biurkach, sekretarzykach, co można dzisiaj zobaczyć w muzeach – ludzie w taki sposób się zabezpieczali. Dziś także ważne dokumenty chowamy w domu w jakichś bezpiecznych miejscach, prawda? Podejrzewam, że ks. Muznerowski też nie trzymał średniowiecznych dokumentów w szufladzie biurka – gdzieś je pewnie ukrywał. Przypuszczam, że mogło tak się zdarzyć, że na plebanii była skrytka. Kiedy zaczęła się choroba, ks. Muznerowski chciał te dokumenty w jakiś dodatkowy sposób zabezpieczyć, dlatego zaadresował paczkę do księdza Dzioby, na wypadek jej znalezienia. Dlaczego właśnie do niego? Na pewno się znali, być może współpracowali – ks. Dzioba był wykładowcą seminarium, a seminarium wydało książkę ks. Muznerowskiego. Jednak dokumentów szukano po śmierci księdza i ich nie znaleziono. Być może nie odnaleziono wtedy skrytki, w której się znajdowały. Ale kiedy w takim razie odnaleziono? Tutaj z kolei zacząłem szukać w historii Tuszy, chciałem

się dowiedzieć, co się działo z tamtejszym kościołem. W 1939 roku, kiedy zaczęła się okupacja, Niemcy zajęli plebanie, a budynki zostały zdewastowane i po wojnie trzeba było przywrócić je do stanu używalności. Ksiądz, który był proboszczem w Tuszynie, w 1947 roku rozpoczął generalny remont. Być może przy tym remoncie znaleziono ukryte paczuski i być może wtedy akt trafił do ks. Dzioby. Ks. Dzioba zmarł w 1950 roku i tak się zdarzyło, że również on dalej tego nie przekazał. W czasie okupacji zaczął chorować na serce. Przebywał wtedy w mieszkaniu siostry, która była lekarzem kardiologiem i się nim opiekowała. Również dzięki temu, że nie znajdował się wówczas na terenie seminarium, udało mu się uniknąć wywózki do Dachau. Dokumenty po śmierci księdza zostały u siostry, przechowywała ona te pamiątki do lat 80. W latach 80. trafiły z kolei do mamy mojej żony. Taka historia. Czy faktycznie tak było? Trudno jest dzisiaj jednoznacznie powiedzieć. Spotkałem się też z hipotezą, że wypożyczone przez ks. Muznerowskiego dokumenty zostały przejęte przez ks. biskupa Tymienieckiego i niezwrócone przez niego do Włocławka. Aczkolwiek uważam, że nie ma żadnego powodu, żeby wątpić w uczciwość księdza biskupa i zdecydowanie tę teorię odrzuciłem. Dla mnie było ważne to, że doszedłem do tego, w jaki sposób dokument zaginął. Czy nie jest to dziwne, że akurat u nas w domu pojawił się ten akt, kiedy historia jest moją pasją od dzieciństwa? To jest coś, co ja rozpatruję w kategoriach cudu. Mogłem

tylko marzyć, że będę miał okazję pracować z takim dokumentem. Pojawiły się oczywiście głosy sceptyków. Po pierwsze, osób, które uważały, że jest to niemożliwe, żeby ten dokument odnalazł się w taki sposób, a po drugie, głosy, które wątpiły, że jest to oryginał. To jest normalne – ja też bym na to sceptycznie patrzył.

M.J.: A czy potrafi sobie Pan przypomnieć swoją pierwszą reakcję w związku ze znaleziskiem? Czy od razu miał Pan wrażenie, że natknął się na coś wyjątkowego?

K. Laszkiewicz: Wrażenie miałem, aczkolwiek widziałem już ten dokument wcześniej, jak pakowaliśmy wszystkie papiery przy przeprowadzce, ale wtedy nie wchodziłem w szczegóły. Kiedy zacząłem bardziej na niego zwracać uwagę, to miałem już takie przekonanie, że to jest oryginał i coś niezwykłego. Natomiast przez to, że historię zajmuję się nie od dzisiaj, wiedziałem, że najpierw trzeba się o tym przede wszystkim jak najwięcej dowiedzieć. Poza tym i tak ostatnie słowo musi tutaj powiedzieć fachowiec, osoba, która jest kompetentna, bo ja w ocenie autentyczności nie czułem się kompetentny. Ja mogłem sprawdzić wszystkie wątki, które prowadzą do przekonania, że to jest oryginał.

M.J.: Czy mógłby Pan podsumować, z czego wynikało Pana przekonanie o autentyczności dokumentu?

K. Laszkiewicz: Przesłanek było wiele. Po pierwsze, na tyle ile mogłem, sprawdziłem tekst, porównując to, co miałem na pergaminie, z tym, co znajdowało się w publikacji ks. Muznerowskiego. Druga sprawa, to ten skromny

opis dokumentu, który ksiądz umieścił w swojej pracy; jest pergamin z zachowanym sznurem, woreczkiem, ale bez pieczęci – te rzeczy się zgadzały. Po trzecie, dokument ten nie zaginął w czasie wojny, jak historycy do tej pory uważali, a jednak znacznie wcześniej, i to ks. Muznerowski nie zwrócił go do archiwum. Jeżeli faktycznie zaginąłby w czasie okupacji, to sprawa byłaby znacznie bardziej skomplikowana – trudno byłoby dociec, co się z dokumentem mogło dziać. Tak więc była cała masa poszlak, która świadczyła o tym, że mam w rękach oryginał.

M.J.: W takim razie, na jakim etapie postanowił Pan skontaktować się z mediewistką, panią prof. Alicją Szymczak?

K. Laszkiewicz: W momencie, kiedy sam byłem przekonany, że jest to oryginał, ujawniłem to. Postanowiłem zawiadomić redakcje mediów i zorganizowałem konferencję prasową, licząc na to, że po tej konferencji ktoś się tym zainteresuje.

M.J.: Z jakim odzewem spotkało się Pana odkrycie?

K. Laszkiewicz: Na konferencji pojawiło się kilku dziennikarzy zainteresowanych tematem. Później nastąpiło spotkanie w urzędzie miasta, na którym był obecny między innymi dyrektor Archiwum Państwowego w Łodzi, pan Piotr Zawilski. Pozostałem z nim w kontakcie, chociaż wtedy jeszcze nie pokazywałem mu dokumentu. Po jakimś czasie, może miesiącu, zostałem zaproszony do archiwum, gdzie pan Zawilski zaproponował, żebym udostępnił dokument do badań,

na co ja się, oczywiście, zgodziłem, ponieważ dokładnie o to mi chodziło: żeby zajęli się tym fachowcy. To właśnie pan Zawilski zaproponował współpracę z panią prof. Alicją Szymczak. Zgodziła się i oględziny odbyły się na Kościuszki w Archiwum Państwowym. Pani profesor uznała, że jest to oryginał, pogratulowała mi i sprawa od tego momentu była jasna.

M.J.: Czy proces badania autentyczności był długotrwały? Ile czasu upłynęło od momentu znalezienia przez Pana dokumentu do potwierdzenia jego autentyczności przez panią profesor?

K. Laszkiewicz: Moje własne poszukiwania trwały kilka miesięcy, ponieważ na samym początku nie bardzo wiedziałem od czego zacząć – no i zajmowałem się tym jedynie w wolnych chwilach, po pracy. Dodatkowo pojawiały się ślepe wątki, ale starałem się to zrobić jak najrzetelniej. Ogólnie to było około siedmiu-ośmiu miesięcy. Natomiast później, między ujawnieniem dokumentu na konferencji a badaniem w archiwum, upłynęły około trzy miesiące. Można więc powiedzieć, że był to łącznie prawie rok.

M.J.: Dokument został spisany po łacinie. Ponieważ obecny numer KAPITOL-u dotyczy właśnie obecności języka łacińskiego w Łodzi, muszę koniecznie zapytać: czy sama łacina jest Panu bliska, czy może uczestniczył Pan w procesie tłumaczenia aktu? Rozumiem, że przekład dokumentu nie był pierwszym krokiem na drodze do potwierdzenia jego autentyczności?

K. Laszkiewicz: Zupełnie nie i nawet się o to nie starałem. Wiedziałem, że to jest ten etap, gdzie będzie potrzebny fachowiec. Pełnego tłumaczenia dokonała pani prof. Alicja Szymczak. Natomiast oryginalny dokument co prawda zaginął, ale jego kopia znajduje się we Włocławku w kopiarstwie, dlatego jego treść była znana.

M.J.: Nawigując jeszcze do treści samego dokumentu, czy po jego ujawnieniu przez Pana, pojawiały się jakieś szczególne notoryczne przejęzyczenia, informacje, które należałoby raczej włożyć między bajki, związane z przywilejem?

K. Laszkiewicz: Takie najczęściej pojawiające się przekręcenie to jest to, że jest to dokument z podpisem króla. W wizji romantycznej, zresztą istnieje chyba nawet obraz tę wizję wyobrażający, to sam król przyjeżdża i nadaje Łodzi prawa miejskie. Natomiast w rzeczywistości nadanie praw miejskich takiej wsi jak Łódź, przynajmniej wtedy, to była czynność urzędnicza. Król nie przyjeżdżał do Łodzi z fanfarami, bo oto, Łódź będzie miastem. To była mała miejscina, która miała stać się miastem dopiero za kilkadziesiąt lat. Jeśli król był w okolicy, to zatrzymywał się w zamku biskupów włocławskich w Przedborzu, gdzie został wystawiony właśnie ten pierwszy akt lokacyjny. Drugi natomiast, ten odnaleziony przeze mnie, pochodzi z zamku w Kole. W nim z kolei Władysław Jagiełło zatrzymał się przed wojną z krzyżakami.

M.J.: W związku z Pana odkryciem wydał Pan również książkę. Czy planuje Pan w przyszłości kolejne publikacje związane z historią?

K. Laszkiewicz.: Książka ukazała się moim nakładem. Planuję jej nowe wydanie, poprawione i uzupełnione, ale na to jeszcze chwilę trzeba poczekać.

M.J.: Na koniec chciałabym jeszcze nawiązać do tematu wiodącego naszego cząstka – i zapytać o łacinę wciąż żywą, rozszerzając jednak ten motyw z Łodzi na cały nasz region. Tak więc: kiedy słyszy Pan o obecności języka łacińskiego i antycznych motywów w województwie łódzkim, to czy jest coś, co przychodzi Panu od razu na myśl, poza, oczywiście, odnalezionym przez Pana przywilejem?

K. Laszkiewicz: Trudno sobie wyobrazić zabytkowy kościół bez inskrypcji łacińskich – jest tego cała masa. Na pewno ciekawie byłoby znać łacinę. Szkoda, że nie dotrwała ona do naszych czasów jako język, w którym mogliby porozumiewać się ludzie z różnych państw na taką skalę, na jaką funkcjonuje to dziś z językiem angielskim.

M.J.: Temat łacińskich inskrypcji kościelnych to również coś, czego chciałybyśmy się kiedyś podjąć w naszym kole naukowym. Bardzo dziękuję Panu za poświęcony czas i fascynującą, będącą właściwie prawdziwym śledztwem, historię odnalezienia zaginionego przywileju. Czekamy na ponowne wydanie Pańskiej książki!

*Wywiad przeprowadziła
i opracowała Melania Janicka*

*W przeprowadzeniu wywiadu
pomocy technicznej użyła
Agata Kowalczyk*